

Jakub Kornhauser

Permanent Vacation

Poznałem Jenny w pociągu z Wiednia do Lublany. Miała ledwie kilkanaście lat, przyjechała ze Stanów poszwendać się po Europie z uczniowską legitymacją w rękę. Pokazała mi transeuropejski bilet, który pozwalał jej na tysiące przesiadek w najodleglejszych zakamarkach kontynentu. Machała nim współpasażerom w przedziale i tym, którzy przechodzili korytarzem do toalety. Austriacki konduktor na widok papierowej harmonijki tylko podkręcił wąsa, po czym raz dwa wbił kolejny stempelek do kolekcji. Jenny stwierdziła, że chce podróżować do momentu, gdy bilet stanie się całkowicie fioletowy od pieczętek. Trzeba przyznać – niewiele jej brakowało.

Wtedy, kilka dobrych lat temu, widok takiej beztroskiej *flâneuse* budził niepokój. Bo jak to tak: bez rodziców, z jakimiś lichymi dolarami za pazuchą, bez konkretnego planu podróży, za to z różowymi włosami, w kurteczce dżinsowej z płamą w kształcie Balatonu i podartych na strzępy rajstopach. I z megaplecakiem ważącym zapewne więcej od niej samej. Pewien wytworny Austriak z przedziału, na oko filharmonik, jak większość Austriaków, albo przynajmniej ważny urzędnik, jak cała reszta, nie mógł się powstrzymać – choć, prawdę mówiąc, wstrzymywał się aż do Grazu, sapiąc i chrząkając co chwila – i zagadnął ją wprost: Osobliwa dziewczynko, czy nie zgubiłaś się czasem w czeluściach Środkowej Europy, czy nie trawi cię jakiś golem, dybuk paskudny nie naprzykrza ci się nocną porą, nie kąsa cię wąpierz ni strzyga? Chyba nie myślisz, dziewczczę niebaczne, że bezkarnie tak można przemierzać szlaki styryjskich nizin i wyżyn bez celu?

Oczywiście mógł zagaić w ten deseń, ale ograniczył się do paru sflaczałych zdaniek zdradzających cokolwiek podtatusiałe inklinacje, że to już późno i ciemno, że samej tak to chyba smutnawo i że kot Sylwester, Bugs z Daffym i cała ta

menażeria dawno już po kąpielu i nic, tylko grzeje się pod kołderką, z łapkami na wierzchu. Jenny lubiła sobie pogadać, więc zaczęła mu tłumaczyć o swoim pomysle na życie: ma teraz wakacje, więc zwiedza świat i raczej słabo się przejmuje tym, że jest niepełnoletnia i niewiele ma banknotów do dyspozycji. Jeździ, prowadzi fajny pamiętnik, do którego wkleja co lepsze fanty, poznaje ludzi, trochę takich, jak ona sama, którzy wolą się wałęsać tu i tam, zamiast siedzieć ze starymi przed telewizorem, doić, kroić albo obśmiewać syna sąsiadów, tego, co przyszczy ma więcej niż oleju w głowie.

Jako że Austriak jakoś się zapowietrzył i wysiadł, zanim Jenny zdążyła dojść do szczegółów swoich europejskich tras, zmieniliśmy temat. Widziałem, że czyta Joyce'a, a w każdym razie czytała go, gdy wchodziłem do przedziału. Jasna sprawa – pewnie metę tego etapu zaplanowała w Trieście, gdzie *Ulisses* pęczniał do rozmiarów arcydzieła, co zapewniło jego autorowi lokalną nieśmiertelność pod postacią zgrabnego pomniczka. Na którym zresztą wygląda, jakby miał zamiar poślizgnąć się pod naporem dującej znad Krasu w stronę Adriatyku bory i wylądować z głośnym plumknięciem w odmęcie Canale Grande. Przy czym z *Ulissem* zawsze jest ten problem, że czyta się go z dziwnym namaszczeniem i właściwie idzie bardziej o sam kontakt z dziełem niż o składanie literek na setkach stron, które, jak wiemy i jak wiedziała teraz również Jenny, miejscami w ogóle do niczego nie są podobne. Dowiedział się o tym kiedyś też mój podstawówkowy kompan Kamil. Otóż, wypożyczając egzemplarz *Ulissesa* od mojego taty, który z zasady nikomu nie dawał swoich książek, nawet do potrzymania, usłyszał ultimatum: 48 godzin na przeczytanie całości, a potem test sprawdzający znajomość lektury, a jak nie, to najazd na chatę, odsetki, hańba na wieki. Kamil to był lebski gość, dał radę, nie spał, nie jadł, stawiał się o wyznaczonej porze i w pocie czoła egzamin oraz egzemplarz zdał.

Ale Jenny Kamila nie znała, nie znała również mojego taty, zdążyła za to poznać się ze Stefanem Dedalusem, no i głowiła się, czy Triest będzie choć trochę podobny do Dublina. Bo że będzie takim mini-Wiedniem, to się spodziewała. Rozmowa zбочyła po jakimś czasie na pociągi. Jenny była zdania, że dostępność i relatywna niezawodność połączeń kolejowych wyróżnia Europę na tle świata, a na pewno na tle Nebraski i okolic – mimo że Nebraska, jak stwierdziła ze znanstwem i chyba z dumą, przez lata uchodziła za kolebkę amerykańskiego kolejnictwa. Wprawdzie pogląd o niezawodności wyrabiała sobie głównie na torach elegancko zelektryfikowanych eks-Austro-Węgier, lecz co prawda, to prawda, sunęliśmy aż miło wśród pól, łąk, wzgórz, krów i małych domków z jeszcze mniejszymi kominami. Pociągi okazały się całkiem nośnym tematem. Mogłem się w nieskończoność popisywać znajomością siatki połączeń i godzin odjazdów w połowie Europy, którą to znajomość hodowałem już w świecie bez efektywnego Internetu w każdej kieszeni. Jenny wyciągała kolejne notesy, żeby zapisać interesujące ją przesiadki. Choć w gruncie rzeczy nie nastawiała się jakoś

szczególnie na kolejne etapy podróży. Woliała dać się zaskoczyć okolicznościom, skądinąd zgodnie z mottem, które miała wydziergane na plecaku – „I’m a certain kind of tourist. A tourist that’s on a permanent vacation”.

Motto było mi bliskie, ja też się wychowałem na *Permanent Vacation*, debiutancim filmie Jima Jarmuscha, i znałem teksty Lautréamonta, którymi inspirował się główny jego bohater, miejski włóczęga Allie. Nic dziwnego, że Jenny chciała być równie swobodna, równie nieufna wobec wszelkich powinności i wszelkich autorytetów, które te powinności zlecały i żyrowały. Jednak mocno różniła się od moich znajomych anarchistów. Im do szczęścia wystarczały byle koncert z pogo pod sceną, kradzież mentosów z osiedlowego spożywczaka i nawalanki z nauczycielami. Jenny natomiast sprawiała wrażenie całkiem ogarniętej. Z jednej strony sama radziła sobie doskonale, nocowała po schroniskach młodzieżowych, zatrzymywała się u świeżo poznanych ziomków, do tego nie owijała w bawełnę, gdy coś jej się nie podobało, kawa na ławę i do widzenia. Z drugiej – nie odrzucała w cholerę wszystkich bezpieczników. A w końcu podróżowanie po całej Europie tam i z powrotem wymagało jakichś punktów oparcia.

Kolej była najważniejszym z nich. Do tego Jenny po prostu lubiła jeździć pociągami. Owszem, przemieszczała się też czasem autostopem, ale bez większego przekonania co do idei. Wcałe mnie to nie dziwiło. Spośród moich bardzo nielicznych licealnych koleżanek, które wybierały się samotnie w dalekie trasy, tylko dwie, trzy miały dobre wspomnienia z autostopu. Coś, co z pozoru mogłoby się wydawać celebrowaniem wolności, w rzeczywistości groziło pułapką: zawsze prędzej czy później trafiało się na jakichś napompowanych swoją męskością typów, którzy rzucali wszystko, by tylko roztoczyć nad tobą parapedofilską opiekę. Pociągi oferowały krótkotrwałą, ale w sumie uspokajającą stabilizację w pozbawionym stabilizacji przedsięwzięciu. Co do tego byliśmy z Jenny zgodni.

W rozmowie z nią po raz pierwszy chyba usłyszałem o Rebecce Solnit. Jenny czytała jej książki o chodzeniu (tę znamy już teraz po polsku), literacko-artystyczne przewodniki i eseje o mikropodróżowaniu. Z tego, co pamiętam, miała o nich dość ambiwalentne sądy. Na pewno podobała jej się sama idea bycia w ruchu, kontaktu ze światem i naturą, „wychodzenia” ze swoich codziennych ról i zmierzania w nieznanne. Ale cała ta natchniona aura, którą Solnit podlewała ideę zjednoczenia ciała i ducha w praktyce wędrowania, budziła jej opory. W końcu zamiast krzątać się po końcach świata, Jenny woliała przylecieć do środka Europy i szukać atrakcji wśród habsburskich mitów i bajek. Nie chcę przez to powiedzieć, że sama nie była trochę na te natchnienia podatna, właściwie to każdy z nas jest, tylko nie wszyscy chcą się z natchnieniami konfrontować u innych. W każdym razie jechaliśmy sobie w przedziale, do którego czasem ktoś wsiadał, choć częściej chyba wysiadał. Byliśmy już w Słowenii i domy, krowy i kominy zrobiły się całkiem malutkie.

Opowiedziałem Jenny o bohaterkach filmów jednego z moich ulubionych reżyserów, Słowaka Martina Šulíka (zapisała sobie jego nazwisko w notesie), bo w sumie

trochę mi je przypomniała. Zwłaszcza Terezkę z *Orbis Pictus*, nastoletnią uciekinierkę z domu dziecka, która wędruje po środkowoeuropejskim świecie z mapą wyrwaną z książki z baśniami. Przez lasy i góry, bezimienne drogi i zabudowania, pieszo i podrzucana przez rozmaitych lokalsów. W końcu trafia na opuszczoną stację kolejową. W miejscu, gdzie powinna widnieć nazwa miejscowości, odcyfrowuje napis: Stacja. Z pociągami raczej tu słabo (no, nie jest to Austria ani Słowenia). Kiedy po wielu przygodach dociera na najwyższe wzgórze, okazuje się, że to skraj świata; na pytanie, co znajduje się po drugiej stronie, napotkany pasterz odpowiada ze zdziwieniem: „Nic!”. Jenny stwierdziła, że to śmieszna bajka, może na koniec trochę smutna. Musiałem się streszczać, bo zbliżał się Maribor, gdzie miałem wysiadać. Jenny jechała w stronę Lublany, no i nie chciałem przerywać w połowie. Ale pociąg stanął w polu i zrobiło się cicho, chyba nie było już o czym gadać. Jenny sięgnęła po *Uliksesa* i po jakimś czasie dowlekliśmy się na stację.

Dzisiaj wędrowniczynie, które na górskich szlakach wyrabiają grube kilometry z dala od szkolnych ławek, nie są rzadkością, podobnie jak rowerzystki z pomysłem na wieloetapowe, międzysemestralne rajdy. Niektóre z niebieskimi ptakami na plecach, inne taszczące śpiwory i wielkie termosy, jedne zafiksowane na ucieczce jak najdalej od domu, drugie tylko na krótkich wagarach od dobrobytu, można je spotkać w starych składach telepiących się między Piwniczną a Tuchowem i w każdym innym zakątku Europy, tej nieco bardziej Środkowej i tej Środkowej nieco mniej. Może któraś z nich w końcu dotrze do Nebraski, gdzie, jak twierdziła Jenny, jest po prostu nudnawo: płasko, kwadratowo i pusto kompletnie. Albo na inny koniec świata, których mamy w okolicy pod dostatkiem.